XX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2022
Norbert Cieślak – kategoria młodzież – proza – III miejsce

Godło: Ainis

Zimowy Dzień

Późnym popołudniem we wtorek wróciłem z zakładu do domu. Dzień mógłbym porównać do niekończącej się katuszy. Problemy powstały już po wyjściu z domu. Z racji pory roku, w której przychodzi Polakom świętować Boże Narodzenie, stara Syrena postanowiła nie odpalić – jak na złość. Próbowałem każdej możliwej sztuczki i sposobu, aby Frankenstein ożył. Niestety bez skutku. Z tego powodu byłem zmuszony, niczym za czasów szkolnych, iść na przystanek autobusowy.

Zima 1988, co prawda nie tak zła jak ta z roku 1978-1979, dalej dawała w kość, nawet Jelczom i Autosanom. Śliskie drogi, a także zaspy były niczym góry lodowe czekające na kolejnego Titanica. Gdy autobus, Jelcz o żółtym i czerwonym malowaniu, wreszcie przyjechał, nie było w nim praktycznie nikogo, za wyjątkiem starej baby siedzącej z przodu, a także dziadka, nota bene walącego na kilometr gorzelskiem, siedzącego z tyłu maszyny.

Jazda zajęła pół godziny. Dotarłem do miejsca pracy spóźniony o pięć minut. Zaśnieżony Dzierżoniów, po którym nie snuł się praktycznie nikt, wyglądał jak miasto duchów. Sam zakład, w którym spędziłem grubo ponad dwadzieścia pięć lat, Diora, będąc pokrytym śniegiem, dołował, ale i zarazem wprawiał w pewną rozterkę. „Jak to będzie wyglądało za kilka lat?" - pomyślałem wtedy.

Cały dzień, spędziłem na tym, czym zajmowałem się najlepiej, czyli składaniem magnetowidów. Po zakończonej robocie nadszedł czas, aby wrócić do mieszkania i pójść spać - żywot starego kawalera.

Następnego dnia wyglądając przez okno z piątego piętra, dostrzegłem dziwny spektakl rozgrywający się pod trzepakiem. O godzinie szóstej, minut piętnaście, pod owym trzepakiem tańczył ten sam dziadek, którego ujrzałem w autobusie poprzedniego dnia.

Co on robi? - pomyślałem zdziwiony. – Aaa... On napruty! To wyjaśnia jego taniec-połamaniec.

Wyszedłem z łóżka i udałem się ku toalecie - poranne sprawy wzywały.

Po zakończeniu tego i owego poszedłem do kuchni, aby zjeść bułkę z masłem i serem. Przyrządzając ten dość skomplikowany rarytas, dziabnąłem się w palec. Rzucając pod nosem przekleństwo, z prędkością karabinu maszynowego podłożyłem palec pod kran z zimną wodą. Trzymałem go przez minutę, po czym szybko zakręciłem kran - rachunek za wodę kosztowałby mnie krocie gdybym tak zrobił raz jeszcze.

Owinąłem palec szmatą kuchenną i wróciłem do przerwanej aktywności. Zjadłem szybko bułkę, po czym pędem ruszyłem ku Skarpecie. Nie wstałem lewą nogą, więc tliła się we mnie iskra nadziei, że mechaniczny, paliwożerny grat, odpali. Wychodząc z klatki, dostrzegłem widok, niczym z komedii - auta nie ma, a jest góra śniegu.

- No, to chyba będę sobie czekał do roztopów...

Mając więc Syrenę głęboko w poważaniu, poszedłem ponownie na przystanek. Po drodze minąłem znajomego Stefana. Był pijakiem, jakiego świat ten nie widział. Upity, a balans potrafił trzymać jak abstynent i w dodatku sportowiec. Chodził zawsze w tych samych ubraniach: beżowej kurtce, spodniach z dziurą na lewym kolanie, a także w czapie zimowej.

- Cześć, Rysiek! - wykrzyknął zaskoczony moim truchtem ku przystankowi. - Co ty? Auto ci kopnęło w kalendarz?

- Żebym ja ciebie nie kopnął. Mam teraz pagórek, na którym można zjechać na sankach, a nie samochód.

- A, to tak, jak twój szefuńcio, pan Jurek!

- Co z nim?

- No, jego dyliżans przykryty śniegiem, więc odwiózł go... zgadnij kto?

- Nie wiem, Leonid Breżniew; zresztą, spieszy mi się na autobus, a na nogach do Diory nie będę szedł.

- Rusek - owszem, ale taksówkarz - Wasilij.

Ten to dopiero - jeździł i chlał jednocześnie. Był znany z tego, że jego Polonez, pomimo bycia Polonezem, nie rozleciał się po tych wszystkich latach trzymania na dworze, a zwłaszcza w deszczu.

- Ale heca! - odparłem rozweselony i spojrzałem na zegarek. – No, muszę iść, cześć!

Stefan pomachał mi na pożegnanie, a ja, biegnąc, odmachałem mu. Ledwo dobiegłem na przystanek, gdy autobus już wyjeżdżał zza zakrętu.

- Miałem szczęście. Dobra, teraz do zakładu...

Przejażdżka zajęła, dla odmiany, dwadzieścia minut, więc tym razem spóźniony nie byłem. Wszedłem do środka; wnętrze, pomimo niedawnego remontu pachniało papierochami i stanem wojennym. Jedni mówili nawet, że gdzieś został w tym zakładzie zamurowany, jak Lenin w swym mauzoleum, dawny kierownik, a z nim, jego ostatnia wypłata. Nie byłem tą historią w żaden sposób poruszony; w życiu, nie należy słuchać bzdurnych historyjek. Ubrałem się w odpowiedni strój, po czym ruszyłem na halę produkcyjną. Idąc korytarzem, dobiegł do mnie Jurek.

- Ryszard, muszę cię prosić o przysługę - zagadał.

Miałem ochotę zażartować na temat jego nowego szofera, lecz byłem w podobnej sytuacji i nie pisnąłem ani słówka.

- Jaką, kierowniku?

Spojrzał za siebie, jakby szukając podsłuchu i przemówił:

- W piwnicy jeden z kotłów szwankuje. Nie wiem, co się dzieje, ale chcę, abyś to sprawdził. Ani mi się waż naprawiać czegokolwiek!

- Skoro o to grzecznie prosisz...

Wyglądał na wystraszonego. Ducha zobaczył czy co? Ruszyłem więc z delikatnym uprzedzeniem do kotłowni. Nikt, za wyjątkiem ludzi mających do tego uprawnienia, tam nie chadzał. Schodząc schodami, które pamiętały jeszcze rządy i politykę Gierka, dotarłem do ciemnoniebieskiego pokoju, którego drzwi prowadziły do kotłowni. Wchodząc do środka, ujrzałem całą maszynerię, a także piece; wszystko na pierwszy rzut oka, wyglądało w porządku.

- Co on tutaj widzi? Piec hula, nigdzie nic nie syczy...

Wtem, usłyszałem czyjś głos.

- Chodź...

Z przestrachem rozejrzałem się dookoła. Nikogo nie ujrzałem, więc poszedłem ku wyjściu. Łapiąc za zardzewiałą klamkę, próbowałem otworzyć przejście ku wolności, lecz nie szło tego uczynić.

- Niech to szlag! Kim jesteś?!

- Zarządcą tego miejsca - rzekł, a głos zdał się być bliżej mnie.

- Kie-kierownikiem!?

Wtem przed moimi oczami pojawił się wychudzony, stary człowiek. Miał na sobie elegancką marynarkę, a także stylową czapkę. Za to nie miał oczu - istny kościotrup.

- Ciebie tu zamurowali?

- Tak, za ścianą! Tam! - krzyknął wściekły i wskazał na ścianę za kotłem. - Jak psa!

Był to moment, kiedy historyjka przerodziła się w realny horror. Bez ostrzeżenia trupi człek podszedł ku palenisku i spojrzał prosto w moje oczy.

- Pamiętaj, człowiecze. Pamiętaj o mnie! Pamiętaj ten rok: dwa tysiące szósty!

Wszedł w płomień i dało się słyszeć tylko: „Żegnaj!”. Klamka finalnie drgnęła, a ja mogłem uciec na górę.

- Teraz wiem, dlaczego Jurek był taki wystraszony.

Zdałem raport mojemu kierownikowi; po mojej twarzy wiedział dobrze, że spotkałem „go”. Przepracowałem w tym zakładzie jeszcze miesiąc, po czym postanowiłem złożyć wypowiedzenie i już nigdy do tamtego miejsca nie wracać.

Mijały lata, a gdy w Polsce upadł komunizm, żelazna kurtyna stała się historią i Diora, w tym samym roku, o którym wspomniał trup, pożegnała ten świat, wydarzenia tamtego dnia, wróciły do mnie niczym bumerang...